

Zbrodnie nieukarana

11 września 2015

W lipcu tego roku sąd w Lüneburgu orzekł 94-letniego Oskara Gröninga winnym pomocnictwa w zamordowaniu co najmniej 300 tys. osób. Kara – 4 lata więzienia. Strażnik w obozie Auschwitz-Birkenau choć w takim wymiarze odpowie za swoje czyny, czego nie można powiedzieć o wielu czołowych zbrodniarzach, którzy zdołali wymknąć się wymiarowi sprawiedliwości.

Josef Mengele – lekarz z Auschwitz, nazywany Aniołem Śmierci, przeprowadzał zbrodnicze eksperymenty na członkach obozu. Szczególnie upodobał sobie bestialskie testy medyczne na dzieciach – zwłaszcza bliźniętach, które, po okrutnych badaniach, zabijał w celu porównania narządów wewnętrznych. Josef Schwammberger – komendant obozów w Rozwadowie, Przemyślu i Mielcu był znany ze swego okrucieństwa wobec więzionych tam Żydów – potrafił zabijać ich gołymi rękoma. Franz Stangl – komendant Treblinki i Sobiboru odpowiedzialny za śmierć ok. 900 tys. Żydów polskich. Klaus Barbie – szef Gestapo w Lyonie zapamiętany za mordowanie i torturowanie członków ruchu oporu, m.in. Jeana Moulina, a także zabójstwo ponad 4 tys. ludzi.

Co ich łączy? Żaden z nich nie został dostatecznie ukarany za swoje zbrodnie. Mengele nigdy nie trafił do więziennej celi, Schwammberger, aresztowany dopiero w 1987 roku, zmarł w 2004 roku w zakładzie karnym w wieku 92 lat. Stangl, odnaleziony w 1967 roku, w więzieniu przeżył tylko 4 lata, a Barbie, po schwytaniu w 1983 roku (w 12 lat po poznaniu jego miejsca pobytu!) zmarł 8 lat później w trakcie odbywania kary.

To tylko kilka z wielu nazwisk największych nazistowskich morderców, którzy zdołali wymknąć się spod ręki kata. Gerald Steinacher w swojej książce pt. „Zbiegli naziści”, będącej jego pracą habilitacyjną, opisał wiele historii nieukaranych zbrodniarzy i sposoby, po jakie sięgali w celu uniknięcia

sprawiedliwości. Kto najbardziej przyczynił się do ich ucieczki? Prawda jest zadziwiająca, okazuje się bowiem, że niepotrzebna była do tego legendarna organizacja Odessa, mająca tworzyć grupę samopomocy hitlerowców. Duży wpływ na powojenne losy nazistów miały natomiast instytucje, które powinny raczej odżegnywać się od tych zbrodniarzy – największe wsparcie dostali mianowicie od Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża, Kościoła Katolickiego i amerykańskich służb specjalnych – CIA. Ogromną rolę w tym procesie odegrały też Argentyna i Tyrol Południowy.

POLITYKA KONTRA MORALNOŚĆ

Główny punkt pomocy znajdował się właśnie w Tyrolu Południowym – części Włoch, w której sąsiadowały ze sobą dwie kultury – włosko- i niemieckojęzyczna. W 1920 roku niemieckojęzyczna część regionu została oderwana od Austro-Węgier i przyłączona do Włoch. Za czasów Mussoliniego rozpoczęła się italianizacja i dyskryminacja mieszkańców tego terenu. Miejscowa ludność wiązała nadzieję z dojściem Hitlera do władzy, jednak w 1939 roku musiała wybrać między pozostaniem w Tyrolu Południowym, a co za tym idzie z przystaniem na włoskie warunki, a emigracją do Rzeszy. Przesiedlenie tych ludzi nie doszło jednak w pełni do skutku, po wojnie zostali oni uznani za etnicznych Niemców bez przynależności państwowej. Sympatie narodowosocjalistyczne miejscowych, a także brak kontroli aliantów, którzy wycofali się z tego rejonu już w 1945 roku, pozwalało nazistom na zdobycie dokumentów zaświadczających o ich statusie uchodźców, a także pozwalających na wyjazd głównie do Ameryki Południowej.

Jak pisze Steinacher: „Tak powstał sprawnie funkcjonujący system: Kościół katolicki zapewniał zakwaterowanie i schronienie, Czerwony Krzyż dostarczał dokumenty, a argentyński konsulat generalny w Genui wydawał wizy w porozumieniu z władzami imigracyjnymi w Buenos Aires i w wielu przypadkach organizował wyjazd za ocean. Jeśli pasażerowie – głównie Włosi – nie pojawiali się przed wypłynięciem statku,

Rufinatscha (sekretarz DAIE – argentyńskiego biura imigracyjnego – przyp. red.) uzupełniał listy pasażerów uchodźcami i emigrantami niemieckimi. Oficjalnie nowi pasażerowie byli przedstawiani jako obywatele Włoch pochodzący z Tyrolu Południowego, co miało tłumaczyć, dlaczego mówią po niemiecku.”

Dlaczego hitlerowcy mogli liczyć na pomoc także ze strony Kościoła Katolickiego? Według Steinachera nie kierował się on złymi pobudkami. Badacz przypomina oczywiście o postaciach pokroju bpa Hudala czy ks. Draganovicia, którzy słynęli ze swoich antysemickich poglądów i sympatyzowali z nazistami, jednak według profesora nie była to częsta postawa wśród członków Kościoła. Uważali oni przede wszystkim, że zbrodniarze także mogą się nawrócić i zasługują na odpuszczenie win, mieli ponadto na celu umocnienie pozycji katolicyzmu, dlatego nie odtrącali tych, którzy wyrazili skruchę i chcieli powrócić do wiary. Często przeprowadzali w takich przypadkach denazyfikację poprzez chrzest – czasem nawet powtórny, niezgodny w pełni z oficjalną doktryną. Jak twierdzi Steinacher: „Kościół katolicki świętował swoje moralne zwycięstwo nad narodowym socjalizmem”. Drugim przyczynkiem do pomocy stała się ich niechęć do komunizmu i walka z nim za wszelką cenę – księża chronili czołowych członków NSDAP, ponieważ byli wrogami ZSRR.

Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża, zajmujący się dokumentami zaświadczającymi o statusie uchodźcy, także przyczynił się do uwolnienia zbrodniarzy. Za ten stan rzeczy częściowo obwiniać należy nieprawidłowości w weryfikacji uchodźców – MKCK, z powodu ogromnej liczby wniosków, miało problemy z kontrolą tożsamości poszczególnych osób. Po części pomoc wynikała także z postawy politycznej, czyli deklarowanego antykomunizmu. Steinacher podkreśla, że w przeciwieństwie do Kościoła Katolickiego, który w dużym stopniu przyczynił się do ratowania Żydów, MKCK nie zajął w tej sprawie wyraźnie potępiającego stanowiska i nie wniósł

swojego wkładu w pomoc dla ofiar Holocaustu, co jeszcze bardziej obciąża organizację winą za wspieranie nazistów.

KWALIFIKACJE WAŻNIEJSZE NIŻ ZBRODNI

Równie mocno może zaskakiwać rola amerykańskich służb specjalnych w tym procederze. Wykorzystywały one niemieckich zbrodniarzy jako źródło wiedzy o nowym wrogu – ZSRR. Nikt bowiem nie miał takiego doświadczenia w swoich dziedzinach i informacji na temat Sowietów jak niedawni nieprzyjaciele. Dzięki wywiadowi ocaleli m.in. Klaus Barbie, Hans Reinefarth, Wernher von Braun czy Reinhard Gehlen. Oczywiście Rosjanie również zabiegali o pozyskanie nazistowskich ekspertów.

Jak mówi „Histmagowi” Bartosz Wieliński, dziennikarz „Gazety Wyborczej” i autor książki „Żli Niemcy. Zbrodniarze, geniusze, fanatycy, wizjonerzy”: „Alianckie wywiady, które szykowały się do zimnej wojny, liczyły na to, że tych ludzi da się jakoś zaktywizować i wykorzystać. Reinefarth był cenny jako były Wyższy Dowódca SS i Policji w Kraju Warty, miał siatkę współpracowników na tym terenie, a także szeroką wiedzę na temat stosunków w tym rejonie. Wernher von Braun też miał mocno obciążony życiorys, był członkiem SS, na potrzeby jego programu rakietowego pracowały przecież obozy koncentracyjne, z drugiej strony jednak, pracując dla amerykańskiej NASA, wysłał człowieka na Księżyc. Amerykanie cenili go jako genialnego konstruktora i wynalazcę. Doktor Hubertus Strughold prowadził eksperymenty dla Luftwaffe związane z zachowaniem się organizmu ludzkiego na dużych wysokościach. W obozie w Dachau miał komorę ciśnieniową i tam mordował ludzi, żeby sprawdzić, jak organizm reaguje na gwałtowne zmiany ciśnienia. On też był przez Amerykanów hołubiony, okrzyknęli go ojcem medycyny kosmicznej. Część niemieckich naukowców, niekoniecznie zbrodniarzy, poszła, często dobrowolnie, do Sowietów, a nie Amerykanów – np. niemiecki fizyk jądrowy Manfred von Ardenne, który robił karierę w NRD.”

Podobny użytek z nazistów chciała mieć Argentyna – przyjmowała

ich jako wykwalifikowanych pracowników, najlepiej wykształconych w swoich dziedzinach inżynierów, specjalistów od technologii czy wojskowości. Mieli oni przekazać swoje umiejętności mieszkańcom tego kraju, który dzięki nim mógł się dalej rozwijać. Steinacher cytuje Juana Perona, prezydenta Argentyny, który w rozmowie z hiszpańskimi dziennikarzami mówił: „Niemcy zostały pokonane, wiedzieliśmy to, a zwycięzcy chcieli wykorzystać ogromne osiągnięcia techniczne, których dokonał ten kraj w ciągu poprzednich 10 lat. Nie można już było wykorzystać zakładów przemysłowych, ponieważ zostały zniszczone. Jediną rzeczą, którą można było wykorzystać, byli ludzie, i to właśnie oni nas interesowali.” Kraj ten od dawna stanowił mekkę dla ludzi, którzy chcieli uciec od wszelakich zagrożeń. Po 1933 roku Argentyna przyjęła ok. 30-40 tys. Niemców, uciekających z kraju w obawie przed represjami – większość z nich stanowili Żydzi. Także po anslussie Austrii państwo to przygarnęło około 20 tys. żydowskich uchodźców. Tym razem jednak postanowili wykorzystać kompetencje uciekinierów do wzmacniania własnego narodu: „Juan Peron i inni dyktatorzy Ameryki Południowej oraz Nasser z Egiptu ściągali, kogo mogli, bo Niemcy były narodem o reputacji państwa zorganizowanego perfekcyjnie, kraju wielkich osiągnięć technologicznych” – potwierdza Bartosz Wieliński. „Przybywali tam specjaliści od budowy samolotów, np. Kurt Tank – tworzył doskonałe myśliwce dla Luftwaffe m.in Focke-Wulffa FW 190, a potem kontynuował pracę w Argentynie i Indiach, gdzie tworzył nowoczesne samoloty. Specjaliści Gestapo od zdzierania paznokci z ludzi pracowali potem przy zwalczaniu lewackich partyzantek.” Dziennikarz opowiada, że specjaliści niemieccy organizowali tamtejszą armię, marynarkę czy instytucje propagandy, a także uczyli tego miejscowych. „W Argentynie mieli nawet specjalną procedurę rekrutacyjną z formularzami, przy pomocy których odsiewano Niemców, podających się za specjalistów, od faktycznych fachowców” – dodaje.

PAŃSTWO BEZ SPECJALISTÓW NIE MOŻE SIĘ ROZWIJAĆ

Wielu nigdy nieukaranych członków partii nazistowskiej zostało także w Niemczech. Doktor Katarzyna Woniak, pracująca w Centrum Badań Historycznych PAN w Berlinie i zajmująca się m.in. historią drugiej wojny światowej i kulturą pamięci, wyjaśnia, dlaczego zaistniał taki stan rzeczy: „20 listopada 1945 r. rozpoczął się Międzynarodowy Trybunał Wojskowy w Norymberdze, który miał na celu osądzenie głównych zbrodniarzy niemieckich. Rozprawy przed sędziami z Francji, Wielkiej Brytanii, USA i ZSRR trwały niemal rok, aż doszło do 19 wyroków skazujących i 3 uniewinnień. Proces norymberski był bezprecedensowy, gdyż zastosowano w nim zasadę odpowiedzialności karnej państwowych przywódców.” Historyczka twierdzi, że mimo pokazania świata wymiaru i zasięgu ludobójstwa zorganizowanego przez system narodowosocjalistyczny, akty oskarżenia pomijały wiele jego aspektów, jak np. okupację niemiecką w Polsce, germanizację i wysiedlenia ludności czy gettoizację ludności żydowskiej. „Rok po ogłoszeniu wyroków w Norymberdze miał miejsce proces w ratuszu berlińskiej dzielnicy Pankow (23.10.1947-01.11.1947 Sachsenhausen-Proces zwany też Procesem Berlińskim) wytoczony przez sowiecki trybunał wojskowy 16 niemieckim zbrodniarzom z obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen. Z uwagi na fakt, że był to pierwszy sowiecki proces poza granicami ZSRR, został on politycznie instrumentalizowany i poddany masowej medializacji. Krótco po jego zakończeniu powstał nawet film „Berlinskij Prozeß”, mający na celu zarówno ukazać ogrom zbrodni niemieckich, jak i nadać rozprawie charakter procesu pokazowego. Procesy w Norymberdze i w Pankow należą do pierwszych trybunałów sądzących zbrodnie nazistowskie. Po nich miało miejsce wiele innych rozpraw wobec pozostałych sprawców, nie tylko w podzielonych Niemczech, ale także w okupowanych w czasie wojny przez Niemcy krajach – mówi. Dodaje jednak, że ta sytuacja nie trwała długo: W samych Niemczech szybko jednak zmieniono kurs z sądenia na integrację lub reedukację byłych funkcjonariuszy systemu, co doprowadziło do sytuacji, że poszczególni członkowie załóg obozów koncentracyjnych albo wcale, albo dopiero 70 lat po zakończeniu wojny zostali

osądzeni, jak to miało miejsce w przypadku wyroku wobec Oskara Gröninga z 16 lipca 2015 r.”

Powodów takiego procesu badaczka dopatruje się przede wszystkim w obciążeniu całego społeczeństwa, a w szczególności członków wymiaru sprawiedliwości: „Sądowe rozliczenie zbrodni nazistowskich było dla powojennych Niemiec co najmniej z kilku powodów niewygodne. Oprócz chęci podkreślenia brunatnej przeszłości grubą kreską poprzez wyparcie i tabuizację zbrodni oraz skoncentrowania się na odbudowie i integracji ludności warto mieć na uwadze fakt, że same instancje sądownicze dalekie były od rozliczenia własnej przeszłości. Gros sędziów, adwokatów i innych urzędników z czasu Trzeciej Rzeszy kontynuowało swoje kariery prawnicze w powojennych Niemczech. Tylko tych najbardziej uwikłanych w zbrodniczy system pozbawiano prawa do wykonywania zawodu, przenosząc ich na wcześniejszą, dobrze opłacaną emeryturę. Większość jednak znalazła dobre posady w strukturach odrodzonej republiki niemieckiej. Co więcej, zdobyte podczas wojny „doświadczenie” zawodowe sprzyjało szybkim awansom. Mając na uwadze fakt tych personalnych kontynuacji większości instytucji państwowych łatwo można zrozumieć, dlaczego same sądy i prokuratury nie były zainteresowane ściganiem zbrodni nazistowskich. Potencjalny proces konfrontowałby automatycznie ich samych z ciemną przeszłością. Wyjątek na tym polu stanowił frankfurcki prokurator Fritz Bauer, który doprowadził w 1963 roku do procesu zbrodniarzy z Auschwitz. Proces ten, ostatnio przypomniany w filmie „W labiryncie milczenia” („Im Labyrinth des Schweigens”), stanowi bez wątpienia przełom, także w sądowych rozliczeniach nazizmu.”

Doktor Woniak uważa, że Niemcy nie przeszły pozytywnie próby skonfrontowania się ze swoją historią: „70 lat po wojnie i pomimo wielu procesów zbrodniarzy, objawia się nam zdecydowanie negatywny bilans rozliczenia zbrodni niemieckich. Najlepiej widać to na przykładzie ukarania załogi obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen. Tylko 5% głównodowodzących

odpowiedziało przed sądem za działanie w obozie. Pozostali nie zostali w ogóle ukarani bądź oskarżeni.”

Podobne zdanie na ten temat ma Bartosz Wieliński, który twierdzi, że bez dawnych, splamionych nazizmem kadr Niemcy nie mogłyby dalej sprawnie funkcjonować: „W Niemczech uciekano głównie na północ, czyli pod granicę duńską, do dzisiejszego Szlezwiku-Holsztynu. Alianckie służby, poza wyjątkami, jak np. aresztowanie komendanta Auschwitz Rudolfa Hössa ukrywającego się właśnie na północy, przymykały na to oko. Trwała przecież Zimna Wojna. Wiadomo było poza tym, że każdy miał jakieś mniejsze lub większe obciążenie nazistowskie – czy pracował w aparacie, czy stacjonował na froncie, czy brał udział w zbrodniach. Państwo bez kadry elitarnej, bez specjalistów, fachowców, urzędników nie mogło natomiast funkcjonować. Mówił o tym chociażby gen. Patton, za co wyleciał ze stanowiska powojennego gubernatora Bawarii. Bez nich alianci sami musieliby nim zarządzać, a im zależało na silnych i funkcjonujących Niemczech. Sam Adenauer to rozumiał, zresztą jego prawa ręka Hans Globke współtworzył ustawy norymberskie, nie wspominając o tym, że Eichmann i cała masa innych zbrodniarzy mieli kontakty z wywiadem zachodnioniemieckim. BND utworzona została przez gen. Reinharda Gehlena, czyli jednego z głównych dowódców wywiadu Wehrmachtu, Klaus Barbie był agentem CIA i BND.”

Dziennikarz dodaje, że osoby, które sprzeciwiały się narodowemu socjalizmowi, były odtrącane przez resztę społeczeństwa: „Jeśli się przyjrzymy elitom, to Willy Brandt jako jedyny walczył w norweskim ruchu oporu. Potem wielokrotnie mu wypominano, że jest zdrajcą, podobnie jak płk. Clausowi von Stauffenbergowi, zanim uznano go w Niemczech za świętego.”

Mimo prowadzonych przez niektóre państwa prób odnalezienia zbiegów, wielu z nich nie udało się złapać. Steinacher wspomina, że niektórzy zbrodniarze nie starali się nawet ukrywać swoich tożsamości. Profesor przywołuje sylwetkę Karla

Hassa, który, ścigany przez włoski wymiar sprawiedliwości, a ukrywany przez kontrwywiad amerykański we Włoszech, zdążył nawet zagrać w filmie „Zmierzch bogów” jako statysta. Wystąpił w roli... nazisty.

ZBRODNIARZE UNIEWINNIENI

Inną kwestią jest uniewinnianie zbrodniarzy wojennych przez niemiecki wymiar sprawiedliwości. Heinz Reinefarth, który stał za pogromem ludności cywilnej w czasie Powstania Warszawskiego, nie został uznany za winnego tej zbrodni. Był odpowiedzialny m.in. za rzeź mieszkańców Warszawy na Woli – zginęło w niej ok. 50 tys. cywilów. Co więcej, osiągnął w Niemczech znaczącą pozycję społeczną – został burmistrzem Westerlandu na wyspie Sylt. Jego przypadek, a także kilka podobnych, opisał Krzysztof Kąkolewski w swym reportażu „Co u Pana słyhać?”. Chyba najbardziej przeraża fakt, że podobnie jak wielu hitlerowców, Reinefarth nie poczuwał się do winy za swoje zbrodnie. Analogiczną sytuację widać w wielu świadectwach epoki, chociażby w rozmowie Gitty Sereny z Franzem Stanglem pt. „W stronę ciemności. Rozmowy z komendantem Trebłinki” czy „Rozmowach z Katem” Kazimierza Moczarskiego. Naziści często odrzucali oskarżenia o zaangażowanie w ludobójstwo, zasłaniając się rozkazami dowódców lub brakiem wiedzy o mordach. Reinefarth w rozmowie z Kąkolewskim broni się: „A czy panu jest znany fakt, że przewód sądowy w mojej sprawie trwał dwadzieścia lat i zostałem uniewinniony? Ja potępiam te egzekucje nie od dziś, ale wtedy także. (...) Dochodziły mnie meldunki i wtedy odwoływałem egzekucje, ale tylko wtedy, gdy dochodziły mnie meldunki. (...) Jest różnica między prawem polskim a niemieckim. Niemieckie uznaje winnym tego, kto wydał zbrodnicze rozkazy lub nie ingerował, jeśli wiedział o zbrodniach. W polskich prawie dowódca odpowiedzialny jest za wszystko, co wydarzyło się na obszarze dowodzenia, nawet jeśli o tym nie wiedział.”

NADCHODZI ZMIANA?

Niemcy, choć przez lata nie rozliczali się z przeszłością, powoli zaczynają naprawiać dawne błędy. Dziennikarz Gazety Wyborczej wspomina, że niedawno mieszkańcy Westerlandu zmierzili się także z prawdą o ich burmistrzu: „Przykładem z ostatniego roku jest to, jak Westerland rozliczyło się z Reinefarthem. To on zamienił zniszczoną wyspę Sylt w najbardziej znany kurort Zachodnich Niemiec. Przez lata nikt go nie pytał, co działo się w Polsce, a wszystkie zarzuty wobec niego były odrzucane przez jego ludzi na wyspie jako wyssane z palca brednie i kalumnie. Śledztwa prowadzone przeciwko niemu spaliły na panewce. Dokładnie rok temu, na ratuszu w Westerlandzie powieszono tablicę, w której mieszkańcy wspominają, że były burmistrz był zbrodniarzem wojennym, mordował powstańców warszawskich i że jest im bardzo przykro, że ktoś taki mógł pełnić funkcję włodarza tego miasta. Uchwałę o podobnej treści przyjął parlament landu Szlezwik-Holsztyn.”

Bartosz Wieliński przywołuje wiele podobnych przypadków: „Mieliśmy jakiś czas temu opracowanie dotyczące nazistowskich plam w historii Związku Wypędzonych. Okazuje się, że jego kadry zaraz po wojnie stanowili naziści, byli nimi także jego twórcy. Związek zrobił wszystko, żeby nie ujawnić tego piętna, choć Erika Steinbach twierdziła, że jest zwolenniczką pojednania z Polską. Gdy pytano ją o brunatną przeszłość twierdziła, że Związek nie ma pieniędzy na badania. Ludzie, którzy nakładali specjalne podatki na Żydów pod koniec lat 30. czy ich wywłaszczali na mocy ustaw norymberskich po wojnie również zrobili kariery w aparacie finansowym. Niedawno badano kariery dyplomatyczne po wojnie. Okazało się, że wielu nazistowskich dyplomatów pozostało w służbie. Dopiero Guido Westerwelle, szef MSZ w latach 2009-2013, kazał usunąć z ambasad zdjęcia ambasadorów-nazistów. Inną sprawą jest fakt, że większość aparatu sądowego ewidentnie sympatyzowała wtedy z nazistami, którzy zresztą w swoich miastach mieli dobrą pozycję.”

Pozostaje pytanie: czy po tylu latach pełnych zaniedbań warto nadal zmagać się z przeszłością i karać pozostałych przy życiu sprawców tamtych wydarzeń? Doktor Katarzyna Woniak twierdzi, że jest to pretekst do przypomnienia prawdy o naszej przeszłości i tożsamości: „Z jednej strony jest to doskonała okazja do uświadomienia opinii publicznej faktu, że powojenne sądy, a tym samym ówczesna polityka niemiecka, świadomie tabuizowały zbrodnie nazistowskie, bo gdyby tak nie było, to nie byłoby obecnie procesów. Z drugiej strony stwarzają one szansę do podkreślenia charakteru i niepowtarzalności tych zbrodni, które nie podlegają przedawnieniu. Tym samym obecnie toczony rozprawy wobec wiekowych już sprawców, funkcjonują jako nośnik pamięci i edukacji o niemieckich zbrodniach w czasie II wojny światowej.”

Bartosz Wieliński także sądzi, że jest to droga do odfałszowania historii: „Prześledzenie historii osób, które zajmowały czołowe stanowiska w Niemczech jest oczywiście konieczne. Musimy wiedzieć, na czym stoimy. Każda z obecnych instytucji RFN ma nazistowskie korzenie. Główne tytuły niemieckiej prasy, np. „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, zakładali byli współpracownicy Goebbelsa, ludzie z ministerstwa propagandy. Tygodnik „Stern” założył Henri Nannen, człowiek, który pracował w aparacie propagandowym Luftwaffe, a potem SS. Oczywiście pracowali tam jako młodzi ludzie, była to część ich życia, więc choć żaden z nich nikogo nie zabił, nie zrobił nikomu krzywdy w sensie materialnym, jakaś plama pozostała. Trzeba to wyjaśnić i pokazać te życiorysy. Obowiązkiem historyka jest pokazywanie prawdy, czasami burzenie wizerunków.”

Dziennikarz przypomina o przypadku Guntera Grassa: „Wszystkim się zdawało, że był on od kolebki zaangażowanym w budowę lepszego świata lewicowcem, przeciwnikiem antydemokratycznych tendencji w Niemczech, zwolennikiem rozliczania się z nazizmem, a okazało się, że poszedł na ochotnika do Waffen SS. Dla wielu Niemców był to szok, padały oskarżenia o hipokryzję,

jednak uważam, że nie przekreśla to w żadnym wypadku jego dorobku. Miał 19 lat i nie wiedział, co to jest SS, nie miał pojęcia o ogromie nazistowskich zbrodni. Wybór nastolatka w tym wypadku nie może ciążyć na jego późniejszych dokonaniach.”

Dziennikarz żałuje tylko, że rozliczanie z przeszłością zaczyna nabierać znaczenia tak późno: „Wielu Niemców na pewno chciałoby, żeby powszechnie uznano, że sprawa została zakończona. Istnieją jednak ludzie nietracący zainteresowania tym tematem i ciągle starający się go zgłębiać, niebojący się łatki, że kalają własne gniazdo czy że sięgają do historii, która już nikogo nie interesuje. Pozostaje tylko pytanie, czemu zajęli się tym tak późno, dalej się z tym mierzy trzecie czy czwarte pokolenie. Dramatem jest to, że zmarnowano tyle czasu, bo dzisiaj można postawić przed sądem jedynie chłopaka, który miał wtedy 19-20 lat, rozpoczął służbę w obozie koncentracyjnym i został zdeprawowany przez „starszych członków gangu”, jak to by dzisiaj można było nazwać. Trzeba było to robić 2-3 dekady wcześniej. Wtedy można było jeszcze osądzić głównych sprawców. Dobrze, że Niemcy wychodzą z polowania na 90-letnich strażników obozów koncentracyjnych dosyć rozsądnie – tych ludzi się skazuje, ale nie wysyła do więzień, osądzenie ma raczej formę moralną.”

Wieliński dostrzega jednak pozytywne zmiany w podejściu do tego zagadnienia: „Niemiecki wymiar sprawiedliwości przeszedł sporą metamorfozę, bo przez pierwsze 10 lat po zakończeniu wojny nie było zbyt wielu możliwości, żeby kogokolwiek skazać. Nie było świadków na to, że konkretne osoby zostały przez konkretnego strażnika w obozie zabite, więc oskarżenie upadało. Przypominam sobie lekturę protokołów niemieckiego procesów przeciwko załodze Sobiboru lub Bełżca, jednego z tych okropnych obozów w Galicji. Jeden z ocalałych, który mógł zeznawać, był niewidomy, nie miał możliwości rozpoznać oskarżonych – jego zeznania zostały odrzucone. W czasie innych procesów w sposób zupełnie bezduszny pytano świadków np. o to, jaką pałką ich bito – kanciastą czy okrągłą, jaka była wtedy

pora dnia – południe czy rano. Jeśli świadek nie pamiętał tych rzeczy, uznawano, że ma problemy z pamięcią i kręci się w zeznaniach. Wyroki, które zapadały przed procesem załogi Auschwitz we Frankfurcie nad Menem zakończonym w 1965 roku generalnie były śmieszne. Dopiero później zaczęło się to powoli odwracać. Casus Demaniuka, jaki Niemcy wprowadzili, opierający się na zasadzie, że każdy strażnik w danym obozie musiał być współodpowiedzialny za morderstwo, jest nowością ostatnich lat, w latach 60., 70. to było zupełnie nie do pomyślenia.”

Autorstwo: Agnieszka Woch

Źródło: Histmag.org

Licencja: [CC BY-SA 3.0](https://creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/)

BIBLIOGRAFIA

1. Kąkolewski Krzysztof, „Co u pana słychać”, Zysk i S-ka, Poznań 2010.
2. Steinacher Gerald, „Zbiegli naziści. Jak hitlerowscy zbrodniarze uciekli przed sprawiedliwością”, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2015.